№ 32.

Warszawa, dnia 6 Sierpnia 1864 r.

# TYGODNIK MÓD

## NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

**CENA.** **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 596 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

### DZIEŃ POBYTU W PALERMO.

Stolica Sycylii ukazała się naszym oczom w pięknym dniu zimowym, o piérwszych blaskach wschodzącego słońca. Statek, który nas przenosił na wschód, miał się zatrzymać w Palermo przez jedną tylko dobę, należało tedy zużytkować jak najlepiéj czas tak krótki.

Od strony morza, Palermo nie wydaje się tak znacznem miastem, jak niém jest w istocie, widać bowiem ztamtąd tylko dzielnicę pobudowaną na pochyłości zbiegającéj ku przystani, i trudnoby się z niéj domyśléć drugiéj stolicy Włoch, grodu liczącego przeszło 200,000, ludności. Za to widok jest od téj strony uroczy; wysokie góry piętrzące się po za miastem, zdobne są bogatą zielonością, pośród któréj bieleją tu i owdzie przepyszne wille i skromniejsze ale wdzięczne wiejskie pomieszkania rozmaitego rodzaju.

Zaledwie rzeczy nasze wyszły z rąk celników i paszporta zostały obejrzane, udaliśmy się na ląd, aby nie stracić ani chwili, zwłaszcza że już było parę godzin, jakeśmy przybyli. Weszliśmy do miasta przez bramę zwaną Porta-Felice i niebawem podziwialiśmy dwie najpiękniejsze ulice Teledo, i Maqueda. Jakże dziwne i urocze sprawia wrażenie na cudzoziemcu przybyłym z chłodnéj północy, owa pełnia życia, którą się odznaczają miasta południowe, a pośród niéj bardziéj od innych Palermo! Przedmioty nieżyjące nawet zdają się oddychać na podobieństwo ludności żyjącéj pod gołém niebem, na ulicach; tam marmur nawet i kamień zdaje się już nie zimny jak gdzie indziéj, ale poniekąd zespolony z tym gwarnym ludem, z jaskrawemi barwami kwiatów zdobiących krużganki, ożywiony jak one jasnemi promieniami tego słońca, które nie umie nigdy odmówić swego ciepła téj czarownéj krainie.

Do innych bogactw, jakie Palermo otrzymało od przyrody, zaliczyć można jako niemałe, obfi-

tość wybornéj wody pochodzącéj ze źródeł tryskających w samém mieście lub w sąsiednich górach. Za pomocą bardzo dogodnego, chociaż w cale pierwotnego systematu wodociągów (sięgają one bowiem jeszcze czasu panowania Maurów w Sycylii), woda jest rozprowadzona po wszystkich częściach miasta. Dostarczają jéj liczne wodotryski marmurowe, pomiędzy któremi odznacza się pięknością cysterna na placu Ratuszowym Jest ona z białego marmuru i tak wielkich rozmiarów, że na przyozdobienie trzech wanien, które się na niéj piętrzą, użyto kilkaset posągów przedstawiających rozmaite morskie bożyszcza. Na szczycie króluje dumnie Serena, patrząc oko w oko Świętéj Rozalji patronce miasta, któréj posąg wieńczy naprzeciw wznosząca się wystawę Ratusza. Podczas gdy święta dziewica zdaje się z pokorą spuszczać oczy ku lampom gorejącym nieustannie u jéj stóp pogańska, czarodziejska pluszcze się rozkosznie w swoim żywiole, pryskając w koło siebie płynne skarby spadające tu i owdzie to srebrzystemi strumieniami, to lekkiemi iskrzącemi kroplami odświeżającemi powietrze. Fontanna zowie się *la Pretoria*, od rzymskiéj nazwy municypalności, na któréj placu się znajduje.

Dzień pobytu naszego w Palermo wypadł w Niedzielę, wszystkie więc sklepy były pozamykane, ale ruch uliczny był tém większy, i kobiéty z ludu wydawały się tém piękniejsze w świątecznych swych strojach, ze śnieżnemi zasłonami z muślinu, od których odbijały prześlicznie czarne ich włosy. Cała ta ludność dążyła tłumnie ku kościołom, których jest w Palermo bardzo wielka liczba, równie jak i klasztorów. Te ostatnie miewają od strony ulicy gęste kraty ciągnące się wzdłuż płaskich ich dachów, służących za miejsce przechadzki zakonnicom które tym sposobem mogą widzieć świat zewnętrzny nie będąc same widziane od przechodzących. Niektóre z tych klasztorów posiadają znaczne bogactwa, o czém świadczą już klejnoty zdobiące ołtarze ich kościołów.

Palermo posiada jeden tylko ogród od strony morza, za to okolice miasta są tylko jednym ogromnym ogrodem utworzonym przez przyrodę i zdobnym w to wszystko, na co się mogła zdobyć najwytworniejsza sztuka. Chcemy mówić o prześlicznych wzgórzach opasujących zewsząd Palermo jakby wiankiem wiecznie zielonym, kwiecistym i woniejącym, z pośród którego wychylają się tu i owdzie przepyszne wille, stanowiące letnie mieszkania palermitańskiéj arystokracyi.

Zwiedziwszy celniejsze ulice miasta, skierowaliśmy nasze kroki ku przedmieściom, chcąc przypatrzéć się choćby na chwilę obyczajom uboższego ludu, stanowiącego wszędzie istotne jądro ludności. Tutaj jak i gdzie indziéj, obchodzono dzień świąteczny głównie po szynkowniach; tylko że zamiast wódki lub piwa, zapijano wyborne wino które Sycylja obficie wydaje. Po większéj części wchodzący do szynku nie zaraz żądali wina, tylko zasiadali do gry pomiędzy sobą, i przegrywający musiał częstować szczęśliwego przeciwnika. Grano tam w rozmaite gry, ale piérwsze miejsce trzymała *morra*, gra w palce, bardzo ulubiona ludowi po całych Włoszech i którą tam niegdyś podobno nie gardzili sami królowie. Z tego choćby względu wypada powiedzićć tu o niéj słów kilka. Dwaj gracze rozpoczynający partję *morry* zasiadają naprzeciw siebie, trzymając pięści zamknięte i czekając pilnie chwili ich otwarcia. Należy bowiem wtedy odgadnąć odrazu liczbę palców wyciągniętych i wymówić ją w téj samėj chwili kiedy się ukażą. Na tém polega cała trudność i cała szansa gry. Jeśli palce wyciągnięte odpowiadają liczbie wykrzykniętéj przez jednego z graczy, znaczy on pięć punktów. Niepodobna dać pojęcia o szybkości z jaką Palermitanie grają w *morrę;* co chwila grający się zmieniają, ten bowiem co zgadł musi zwyciężyć z kolei pewną liczbę przeciwników. Ruchome i wyraziste twarze tych dzieci południa ożywiają się nowym ogniem przy téj ulubionéj zabawie; rzekłbyś iż cała ich dusza przeszła we wzrok, którym śledzą twarz przeciwnika, aby schwycić w jego oczach, zanim usta wyrzekną, liczbę, jaką sobie wybrał. Do gry podobnéj, potrzeba koniecznie Włochów. Patrzący na nich Niemiec, truchlałby na sam widok ich twarzy tchnących dzikim zapałem, i sądziłby, że ma przed sobą dwóch najzaciętszych nieprzyjaciół, którzy się lada chwila rzucą na siebie na podobieństwo wściekłych tygrysów.

Wprawdzie bywa i to nieraz, że zabawa, kończy się bójką na dobre, a zdarza się nawet, że gracze podnieceni trunkiem chwytają za noże, by rozstrzygnąć wątpliwość, lub ukarać dopatrzony podstęp. Przekleństwa sypią się wtedy gradem, a walka odznacza się tak dziką gwałtownością, że trudno na nią patrzéć bez przerażenia. Wypadło nam właśnie być świadkami podobnego zajścia. Podczas kiedyśmy się przypatrywali partyi granéj z nadzwyczajną szybkością, dwaj gracze zerwali się nagle z twarzami rozognionemi trunkiem i wściekłością; w jednéj chwili runęły na wszystkie strony ławki i stoły ze stojącemi na nich butelkami, a na opróżnionėm placu rozpoczęła się walka najzacietsza. Widząc to kobiéty, rzuciły się z krzykiem ku zapaśnikom, i w części prośbami,

w części przemocą potrafiły ich uspokoić. W kilka minut, potém najlepsza zgoda panowała znowu pomiędzy graczami, którzy rozpoczęli nową partję, zażądawszy świeżych butelek ku uczczeniu serdecznego pojednania.

O zmroku potrzeba było wrócić na statek. Wkrótce srebrzyste promienie księżyca oświeciły rozległą zatokę, którą zakończa z jednéj strony przylądek Zafferano, z drugiéj wyniosły szczyt góry Pellegrino, z którego zdaje się czuwać nad miastem Święta Rozalja, mająca tam swoją kaplicę. Palermo przybrało się dla nas w najbardziéj uroczą swą szatę, w chwili ostatniego naszego z niém pożegnania. Jakże cicho, jak pogodną była ta noc zimowa, bardziéj letnia od naszych czerwcowych! Po wygładzonych jak zwierciadlana szyba toniach, przemykały się tu i owdzie drobne czółenka rybackie, świecące jak świętojańskie robaczki światełkami, poprzytwierdzanemi do ich przodu dla zwabienia ryb, a po nad tém uroczém morzem, roztaczały się ciemne błękity niebios, iskrzące niezliczonemi gwiazdami, i oblewała je łagodném światłem przejrzysta jasność księżyca.

Nazajutrz, kiedy oczy nasze patrzały tęschnie z pokładu w stronę Palermo, widać już tam było tylko małą plamkę szarą, a z cudownego obrazu ujrzanego przez chwilę, pozostało nam wrażenie podobne do tego, jakie pozostawia w sobie sen czarodziejski.

---

* * *

Kronikarz Tygodnika illustrowanego, w jednym z numerów, nazwał kobiéty *źródłem światła*, dlatego, że przez zawieszanie sukni na kształt firanek ujętych w festony, podobne są do okna, darzącego światłem wnętrze mieszkania. Nie wdając się w ocenienie trafności porównania, a ciesząc się skasowaniem choć tym sposobem mody co przepełniała całą Warszawę, piekielnie nieznośnym pyłem, a ogród saski jakby mgłą gęstą, ciężką i duszącą, potwierdzę zdanie kronikarza cokolwiek żartobliwie wyrzeczone, i dodam, za kobiéty rzeczywiście jak chcą, nie tylko są źródłem światła, ale i wszystkiego dobrego na świecie.

Kto nie czuje i nie pojmuje tego, w kim serce dudni głucho spopielonemi uczuciami, a myśl przykuta do ziemi nie umie się wznieść nawet nad dym z rodzinnéj wysnuwający się chaty, z tym rozprawy toczyć nie myślę. Bóg z nim! drogi naszego żywota, widać że zupełnie w odmiennych rozchodzą się kierunkach. W tém jednak orzeczeniu jest pewne *ale*, warunek konieczny i niezbędny, bo czczemi grzecznostkami nie chciałbym Wam ubliżyć. Jest nim zaś utrzymanie godności osobistéj, owa szlachetna duma, czulsza i delikatniejsza od kwiatowego pyłku, lękającego się nawet szmeru skrzydeł motylich, zbyt śmiało i blisko przefurkających. Ona to serce niewieście przemienia w świątynię niewinności, przycisza, uspakaja i kierując myślą, wypłasza po manowcach błąkające dumki, unosząc je w anielskiéj barwie nad ludzkością i rodziną.

Przedmiot to za obszerny na zwyczajną z Wami pogadankę; zawieszam go więc na czas jakiś, chociaż i tym kilku wierszom, chciałbym nadać własność promieni słońca, wciskających się wszędzie w najtajniejsze zakątki, i rozwijających najmniejsze ziarenka w bujną roślinność. Że zaś jest na dobie, świadczy wydana niedawno broszura pod tytułem: *O składzie i ustroju normalnym ludzkiego społeczeństwa* przez tak zowiącą się Centralną księgarnię dla krajów Słowiańskich Wolfganga Gerharda w Lipsku, którą właściwie nazwaćby należało *rozkładem i roztrojem*. Autor bowiem zawzięty przeciwnik małżeństwa, skazuje ród ludzi na wygaśnienie bezpotomne, jako niby powołane do dobrowolnegó zgładzenia siebie, radząc jakieś duchowo kościelne małżeństwa, które żyjąc tylko duchowo, byłyby wzorem ściśle wypełnianych przepisów kościoła. Dla podobnéj jednak do siebie zbyt wielkiéj falangi licznych reformatorów, nadzwyczaj jest pobłażliwy, przymyka oczy, patrzy przez szpary, tu niedosłyszy, tam niedowidzi, a argumentami szasta filozofując, niedorzecznie co prawda, ale z taką pewnością, z takiém zarozumieniem, jakby wszystkie światy trzymał w dłoni, i miał je w ruch wypuścić według swego widzimisię. Dziwoląg ten rozmarzonéj spirytusem imaginacji, przejdzie zapewne wkrótce na obwijanki i fidybusy, zawsze jednak jest obawem, owego poganizmu, tak często przezemnie gromionego, a jaki nurtując skrycie społeczeństwo, widocznie zwrasta i krzepnie, skoro łeb swój potworny zaczyna wychylać z księgarskiego handlu. Że ktoś znalazł się podobnie myślący i piszący nie dziwi mnie wcale, półgłówki i bezgłówki rodzą się zwykle sami bez siejby; ale że napaść na rodziny pozwolono drukować, i wydaniem zajął się pan Wolfgang w Lipsku, i do tego w polskim języku, to cokolwiek zastanawia.

Wprawdzie czasami ślubne gody przemieniają pobranych nie w małżeństwo, ale *w męczeństwo*, lecz i nie każdy kłos zboża daje na chleb ziarno, i nie każdy człowiek umie być szczęśliwym. Wreszcie zwykle to nasza wina oprócz małych

wyjątków tworzy piekło w domu, zmieniając życie w prawdziwe tortury. A słów tych nie bierzcie za czcze pochlebstwo, boć przy nas władza i naczelna powaga, przy Was obowiązkowe poddanie się i posłuszeństwo. Znam jednego co o granicę tylko, lat pięć kochał pewną panienkę i bywał u niéj czasami po dwa razy na dzień. Wreszcie pobrali się, żyli z sobą miesiąc, rok rozwodzili, i po wyroku w sekundzie rozbiegli się na zawsze. W lat trzy rozwódka poszła za mąż, a exmałżonek bawił się w szczebioty miłosne, gruchając w przelotach z gałązki na gałązkę, i szukając nowego serca, któreby mu wynagrodziło zawód piérwszéj długo letniéj miłości. Tymczasem ludzie szeptali, gadali, dziwili się, podnosili ramion, przypinali łaty i łatki, aż naraz ów rozwodnik posmutniał i zmienił się do niepoznania. A wiecie jaka była tego przyczyna? Oto exmałżonka zemściła się się strasznie, okropnie, prawdziwie po szatańsku. Przypadkiem zmuszona przyjąć u siebie w domu pana exmałżonka, rozwinęła taki wdzięk w rozmowie, takim otoczyła się powabem i niewinną zalotnością, że biédny rozwodnik na nowo w byłéj swéj żonie tak zakochał się wściekle i zajadle, że o mało się nie powiesił, gdyż do utopienia nie miał wody, a do zastrzelenia pistoletu, i tak walił pięściami w pustą swą głowiznę, że nie umiał ocenić skarbu jaki utracił, iż posądzony o atak kanikularny o mało nie dostał się do czubków. Dziś ona szczęśliwa, błogosławi chwilę rozerwania piérwszego małżeństwa, on kwasi się, nudzi, tetryczy i choć ożenił się także, ale domowego szczęścia nie zazdroszczę mu wcale. Piekło od rana do nocy. Sens więc z tego moralny, że jaki mąż, taka żona, wyjąwszy tylko gdy mąż nie głowacz i nie bogacz, musi się uniżać przed posągową rozkrynolinowaną dobrodziejką. Wówczas bywa przeciwnie, jaka żona taki mąż, od czego niech Was Bóg strzerze i ochrania.

---

## KSIĄŻE MURZYNÓW.

z Freiligratha.

---

### I.

Zbiegły się wojska w dolinę palmową,
On na kędziory wdział turban z purpury;
Na bary rzucił lwią skórę; gromową
Zabrzękły wrzawą mosiężne tambury.

Dzicz się porusza, jak termitów roje,
On czarną, złotem swą ręką opiętą
Objął kochankę, rzekł: „Jadę na boje,
Ty przyrządź ucztę na zwycięstwa święto!"

„Patrz! świetne perły w darze dziś ci złożę!
Zapleć je między czarne swe kędziory!
Gdzie nad koralem Persów szumi morze,
Tam nurki z wodnéj dobyli je nory.

„Patrz! strusie pióra tobie na strój kładę,
Niech białe miekcą z nad ciemnego czoła!
Przystroisz namiot! przyrządzisz biesiadę!
Puhar zwycięstwa kwieciem zwieńcz dokoła!"

Z głębi namiotu błyszczącego bielą
Wyszedł książęcy Murzyn uzbrojony;
Tak z bram obłoków, gdy się jasno ścielą
Wychodzi miesiąc ciemny, zasępiony.

Okrzyk go drużyn powitał ochoczy,
Wita kopyto tętniącéj konnicy,
Dla niego wierna krew się Negrów toczy,
I Nigru wody pełne tajemnicy.

„Wiedź nas do zwycięztw, wiedź na bój szalony!"
A więc od świtu do północy kroczą,
A ząb słoniowy, bujnie wydrążony (*)
Zapala wojów wrzaskliwie, ochoczo.

Lew pierzcha, węże zmykają na granie
Trąb, nak huk bębnów z ludzkiemi czaszkami;
Wiewa chorągiew, śmierci zwiastowanie,
Krew się zmięszała z pustyni piachami.

Tak huczy bitwa w palmowéj dolinie!
A Ona ucztę wspaniałą tam stroi;
Z jéj rąk palmowy sok w puhary płynie,
Namiot w girlandy wieńczy, szczęście roi...

Perły z głębiny Perskiéj ród wiodące
Wplata radośnie w czarne swe kędziory,
Skroń zdobi w pióra pysznie falujące,
Szyję, ramiona w różnych muszel wzory.

Siada przed lubym namiotem; na fali
Wiatru słuch wiesza natężeniem ucha,
Gore południe, słońce żarem pali,
Wieńce już więdną, ona jeszcze słucha....

Słońce upada, w wieczorze umiera,
Rosa szeleści, ognik (**) przelatuje,
Z gorącéj rzeki krokodyl wyziera,
Chłodu nocnego z chciwością kosztuje.

---

(*) Trąba Negrów.
(**) Czyli Ś. Jański robaczek.

Lew się porusza, za zdobyczą ryczy,
Po suchych liściach szumią stada słoni,
Żyrafa szuka łożyska słodyczy,
Kwiat i powieka wraz się do snu kłoni.....

Wtém pierś jéj wznosi straszydeł widziadło:
Przypędził zbiegły Negr krwią obryzgany.
„Bitwa przegrana! i wszystko przepadło!
Twój luby jeńcem na Zachód posłany!

Białym go ludziom nad morzem przedano!"
Ona rwąc włosy, po ziemi się wije,
Drżącemi dłońmi gniecie pereł wiano,
W palącym piasku twarz płonącą kryje.

II.

Na targu, gdzie gładka, gdzie żółta równina
Do cyrku tłumy z wrzawą się tłoczą,
A trąbom wrzaskliwym wtórzą tamborina,
I skaczą pajace, bębny łomoczą.

Hej, tutaj! hej tutaj! lud biegnie śród krzyku;
Wkrąg bandy przez straszne suną przeszkody
Na karym turczynie, na smukłym angliku
Sztukmistrze, kobiéty bujnéj urody.

U bandy przed bramą skrytą zasłonani
Poważny stał Murzyn, włos jego kręty,
I w bęben turecki bił głośno pałkami,
A bęben lwią skórą pysznie opięty.

Nie widzi on koni, jak pędzą szalone,
Nie patrzy na jeźdzców wdzięczne obroty,
Bo Murzyn zdrętwiały wciąż oczy zamglone
Zatapia w lwią skórę z gęstemi sploty.

O Nigrze on duma dalekim. głębokim,
Jak na lwy, tygrysy godził z za skały;
Jak w boju swym mieczem wywijał szerokim,
Jak więcéj nie wrócił pod namiot biały;

Jak ona tam kwiatów dla niego narwała,
Jak włosy stroiła perłami i złotem,
Łza w oku mu błysła; dłoń gromem zawrzała
Stłumionym po skórze — pękła z grzechotem.

*Józef Grajnert.*

---

## AMBICJA, DUMA, PYCHA.

Te trzy wyrazy oznaczają ogólnie przekonanie, jakie mamy o naszéj wyższości rzeczywistéj lub mniemanéj, i które w każdym z nich ma inny przedmiot na celu.

Ambicja wynika z prawdziwego poznania i sprawiedliwego ocenienia naszéj własnéj wartości; człowiek mający ambicję nie porównywa się z drugiemi, stara się on tylko zawsze być godnym samego siebie, i żadną skazą nie splamić swego mienia; ale szanując siebie, wymaga także poszanowania od innych, nie dając nikomu swojém postępowaniem prawa do skrzywdzenia siebie. Ambicja jest cnotą koniecznie potrzebną każdemu w życiu publiczém, gdzie kieruje naszémi czynnościami w okolicznościach często tak trudnych, że bez niéj, chociażbyśmy byli obdarzeni wielą innymi przymiotami, łatwobyśmy mogli zbłądzić.

Wyraz ten używa się jeszcze w drugiém znaczeniu: wyraża on natenczas żądzę wyniesienia się, sławy, lub bogactw, która to żądza, w każdym, stosownie do jego charakteru inaczéj się objawia. Jeżeli cel jéj zgodnym jest z dobrem ogółu, jeżeli człowiek nią owładnięty używa tylko do tego niezłomnéj woli i stałości; jest to uczucie szlachetne i godne szacunku, a ten kto, w taki sposób doszedł do zamierzonego celu, sprawiedliwie może być dumnym, że samą swą wytrwałością potrafił zwalczyć wszelkie przeszkody; lecz jeżeli dąży jedynie do nabycia bogactw, do wywyższenia się nad innych, dla tego tylko, aby zaspokoić wyuzdane chucie, wtedy prawie zawsze środki używane są godnemi celu: okrucieństwo, nieludzkość, jeżeli jesteśmy silnemi; poniżenie, podłość, jeżeli potrzebujemy obcéj pomocy, słowem, najniegodniejsze sposoby są dla nas wtenczas dobre. W człowieku, który się wzniósł taką drogą, wyradza się najczęściéj pycha, gdyż to nowe położenie, do którego ani urodzenie, ani wychowanie nie przygotowało, zaślepia go, i każe mu się uważać za cóś wyższego od reszty śmiertelnych.

Duma, jakeśmy wskazali wyżéj, może być następstwem osiągnienia wzniosłego celu, przy pomocy naszych tylko osobistych zdolności: nie zawsze ona wprawdzie wypływa z tak pięknego źródła, bywa często wyrażeniem zbyt wysokiéj opinii, jaką mamy o naszych przymiotach, albo też opiera się na świetności naszego urodzenia, lub położenia towarzyskiego; zawsze jednakże w tém uczuciu znajduje się jakaś strona, uszlachetniająca je, i tak: honor, który w tylu razach, w braku in-

nych, czystszych zasad moralnych, zachowuje nas od niegodnych postępków, jest wynikiem dumy, i to najmniéj uzasadnionéj, gdyż dumy rodowéj.

Pycha nigdy braną być nie może z dobréj strony, przeciwnie, może być ona zaliczoną, do najszkodliwszych wad ludzkich: Jest to niesłychanie wysokie wyobrażenie o naszéj wyższości, połączone z największą, dla innych ludzi pogardą, którą szczególniéj okazujemy niższym od nas pod względem majątku lub położenia w świecie; gdy przeciwnie, duma czyni ludzi drażliwemi na to tylko, co się tycze ich własnéj godności, nigdy zaś ich nie pobudza do poniżenia drugich bez przyczyny. Człowiek pyszny, skoro się tylko fortuna od niego odwróci, zdolnym jest do najnikczemniejszéj uniżoności, jeżeli ta tylko może mu posłużyć do poprawienia bytu, i tu widzimy wielką różnicę między pychą i dumą, gdyż ostatnia nigdy się korzystniéj nie okazuje jak w nieszczęściu, i ten, który w czasie swéj pomyślności był nagannym, i odstręczał swą zbytnią wyniosłością staje się wzniosłym i godnym podziwu, w walce z przeciwnościami, przed któremi staje z wzniesioném czołem, i gotów raczéj do zniesienia największych cierpień, i najdotkliwszéj nędzy, aniżeli do podłości i znikczemnienia.

Widzimy więc że ambicja i duma, są to uczucia osobiste, oparte na naszéj własnéj godności, z tą tylko różnicą że w piérwszém z nich, godność ta jest, prawie zawsze, zdrowo, i w prawdziwém swém znaczeniu uważana, a w drugiém często ulega imaginacyi i fałszywym pojęciom; że zaś pycha zasadza się tylko na okazaniu zewnątrz naszéj mniemanéj wyższosci, i na olśnieniu nią innych, bez względu na naszą wartość wewnętrzną i na prawdziwe nam przymioty.

*Antoni J....*

---

## ROZMAITOŚCI.

*Pisarze duńscy.* Chociaż Danja jest najmniejszém państwem w Europie, ale przewyższa wszystkie oświatą i dobrobytem. W szesnastym wieku już znajdujemy w niéj znakomitych dziejopisarzy, poezja nowożytna, powieści, pojawiają się już od czasu reformacji, ale złoty wiek literatury duńskiéj, epoka jéj samodzielności, nastała dopiéro w XVII wieku. Do najcelniejszych poetów téj epoki należy Sorterup, czerpiący natchnienie w podaniach skandynawskich i ożywiający dawną poezją bohaterską; potém idzie Tomasz Kingo twórca pieśni religijnych: Piotr Dass, Norwegczyk, poeta ludowy, i wielu innych. Ale nową epokę literatury duńskiéj rozpoczął Norwegczyk Lud: Holberg urodzony r. 1684, poeta liryczny, satyryk, dramaturg i historyk znakomity. Bliższe szczegóły z jego prac godnych poznania, podajemy niżéj, Jako znakomitość piérwszorzędna, naśladowany przez wielką liczbę piszących, dał początek szkole zwanéj jego nazwiskiem. Przy końcu już osiemnastego wieku, kiedy hasło wojenne cichym szmerem powtarzały wszystkie usta, w Danji powstawały uczone towarzystwa, a filologja, historja, filozofja, krytyka, stanęły na wysokim stopniu rozwoju i znoczenia. Z uczonemi rosła także liczba poetów i prozaików, pomiędzy któremi Adam Oehlenschläger i Jerzy Baggesue urodzeni w drugiéj połowie XVIII wieku, stanowią nową epokę w duńskiéj literaturze. Piérwszy, trzymając się gruntu podań narodowych, stanął w rzędzie największych poetów; drugi mimo oryginalności i głębokości pomysłów grzeszył zbyteczném naśladownictwem Niemców. Ze spółczesnych pisarzy nader mało nam znanych, jaśnieją głównie: Chrystjan Bredhal i Hertz dramaturgi: Staffeld poeta liryczny, Andersen powieściarz, i poeta Wintter.

---

*Holberg pisarz duński.* Urodzony w Norwegji r. 1684 po ukończeniu uniwersytetu w Kopenchadze, mając wszystkich pieniędzy 170 fran. popłynął do Holandji i zwiedziwszy Anglję, wydał w r. 1711 wstęp do historji państw europejskich i t. d. za które otrzymał stopień nadzwyczajnego profesora uniwersytetu. Przybywszy do Paryża, szukałem, powiada, mieszkania, ale że bardzo źle wymawiałem wyraz *logis*, jedna służąca zrobiła z litośną miną uwagę, że mówię po francuzku jak koń niemiecki. Było to dość trudném do strawienia dla byłego nauczyciela języka francuzkiego. Zresztą Paryżanie mówią raczéj *chambre garnie* niż *logis*, i najczęściéj mysleli, że pytam się o jakąś Lucię. Wydawszy epopeją komiczną p. t. Piotr Paars, zjednał sobie wielu wielbicieli, ale i wielu potężnych nieprzyjaciół, którym się zdawało, że wzorki z nich pozbierał. O mało nie osądzony na śmierć lub przynajmniéj więzienie; król uwolnił go od wszelkiéj odpowiedzialności, radził tylko autorowi siedzieć ciszéj. Ośmielony tém wydał potém mnóstwo satyr wyszydzając swych przeciwników i ze 20 sztuk dramatycznych. Późniéj w r. 1725 pojechał do Paryża.

W tym czasie cena żywności w tém mieście,

podniosła się do nadzwyczajnéj ceny. Funt chleba kosztował Złp. 1. Wybuchły rozruchy, w skutku których wiele osób utraciło życie. Holberg mieszkając bardzo blisko ogrodu Luksemburgskiego, powiada, że z przyczyny wielkiéj liczby żebraków, przechadzać się po nim było bardzo nieprzyjemnie. Ludzie bardzo dobrze ubrani wyciagali ręce wołając: „z głodu umieramy." Widziałem nawet pewnego dnia kobiétę elegantkę w jedwabnéj sukni omdlałą na drodze. Odniesiono ją do jéj mieszkania pod strychem i przekonano się że oddawna już żyła tylko jabłkami i kapustą. Mimo téj nędzy i straszliwego głodu, arystokracja roztaczała nadzwyczajny przepych, na stroje, zabawy i huczne uciechy.

Niemniéj zadziwia Holberga dziwna niewiadomość Francuzów wszystkiego, co do tyczy obcych krajów, Jakiś probosz uparcie utrzymywał że na północy nie chrzczą dzieci: pewien adwokat zrobił zapytanie, czy do Danji trzeba jechać przez Turcją, a jakiś Piemonczyk twierdził, że Holberg nie może być Norwegczykiem, gdyż to jest lud nadzwyczaj brzydki i mężczyzni mają oczy jak u wieprza a usta od ucha do ucha.

---

*Podróż podziemna przez Holberga.* Umysł satyryczny tego pisarza, przyciszony chwilowo, obudził się nagle i wydał dzieło pod powyższym tytułem. Występujący w niéj Niels Klim jest to student z Kopenhagi, który zwiedzając jaskinie, spuszczany na linach urywa się i wpada w przepaść dostając się tym sposobem mimo woli do środka ziemi. Tam znajduje dziwne narody z bardzo orygalnemi zwyczajami.

W kraju np. zwanym Potu, mieszkańcy są drzewami z twarzą ludzką. Wracając zwycięzcami z jakiéj wojny, zamiast radować się przepędzają wiele dni w smutku i milczeniu. Dawniéj grzeszyli tak dalece pychą, że przy ucztach i uroczystościach, krzak cierniowy zajmował honorowe miejsce, palma lub cedr ostatnie; drzewa o dwóch lub trzech gałęziach za staraniem nie zawsze szlachetném, otrzymały tytuł kilkunasto gałęziowych, a koślawe pokrzywione tytułowały się nadobnemi panami. Słowem wszystko szło na opak, dopóki mieszkańcy poszukiwali godności zaszczytów bez zasługiwania na nie.

Niektórzy z tych mieszkańców podróżowali po naszéj Europie. Jeden z nich tak opisuje Niemcy. Kraj ten nazwany jest cesarstwem Rzymskiém, chociaż właściwie państwa tego nie ma od wiekó ≶ Władca ich nosi tytuł niezwyciężonego, chociaż ciągle ponosi klęski. Język mają trudny do zrozumienia: to co w innych znajduje się na początku, u nich zawsze na końcu i często, aby zrozumiéć jeden frazes, trzeba czytać całą stronnicę.

Francja, powiada, wywiera niejakąś władzę prawodawczą na inne kraje; tak np. ma wyłączne prawo naznaczyć sposób życia i ubierania się, i choćby jaki ubiór był najśmieszniejszy i niewygodny, wszyscy znajdują go zachwycającym skoro tylko z Paryża pochodzi. Anglicy codzień prawie zmieniają religję i przekonania polityczne, na co widać wpływa mglisty klimat ich wyspy. W wielu zaś krajach manja tytułów doszła do takiego szaleństwa, że karzeł radby nazywać się olbrzymem, a starzec młodzieńcem.

Książka ta w swoim czasie miała wielkie powodzenie i przetłumaczoną została na siedm języków.

---

## O Ubiorach Męzkich.

Od dawnego czasu nie zaszły właściwe zmiany w kroju ubrania dla mężczyzn, lecz za to materjał i jego kolor coraz to innym podlegają modom. Nie robiąc pod tym względem żadnych uwag, poprzestajemy na zapisaniu dla porządku, jaka jest obecna praktyka. Najwięcéj są używane, pomimo gorąca, na zwierzchnie ubranie paltosaki kroju równego; robią się one zwykle z tak zwanych korcików Milton, kolorów szarych, lub zupełnie jasnych.

Najpraktyczniejszem wszakże jako ochraniającem od kurzu jest okrycie, w fasonie Raglanek, które dotąd się utrzymują, robią się zaś z różnych kortów letnich lub jesiennych.

Żakiety krojem angielskim z przedłużonym stanem dotąd są jeszcze modnemi. Wizytowe zaś robią się ze stanem proporcyonalnym, to jest o 5 centimetrów krótszym od poprzedzających. Poły czyli szosy są teraz krótsze, tak u tużurków jak i żakiet.

Z nadesłanych jesiennych materjałów do tutejszych sklepów krawieckich, przekonać się można, jak bardzo się one różnią od zeszłorocznych nie tylko pod względem gustu, ale i dobroci wyrobu. Odznaczające się pięknością są: tak zwane *Millbourn, Norfolk, Càro-Palettot, Gondrecourt,* i *Royal Militairs,* ten ostatni gatunek służyć ma na okrycie.

Ratiny zupełnie z użycia wychodzą, a zastępują je materjały gładkie zwane *Derby.*

Co do ubrania dla dziatwy wspomnieć musiémy, że dla małych chłopczyków zwykle robią się krótkie marynareczki szamerowane z przodu i zapinające się na drobne guziczki, albo też tak zwane żuawki, to jest krótkie kaftaniczki także szamerowane z zaokrąglonemi przodkami zwierzchniemi, spodnie przodki formujące kamizelkę, zapinają się na drobne guziczki. Majteczki stosowne oraz czapeczka słomkowa w kształcie kapelusika damskiego tak zwanego kepi, albo żokiejka depełniają ubrania.

Jako osobliwość zamieścić tu wypada nowo *wynaleziony* pomysł angielski. Ponieważ kołnierzyki i mankiety męzkich koszul, najprędzéj się brudzą i niszczą przy bieliźnie, więc mają być zastąpione stalowemi, polerowanemi tak, iż wyglądają jak płótno ciemne. Na tych mankietach i kołnierzykach są już guziczki, do których się bielizna przypinać będzie. Za dni kilkanaście będziemy takowe mieli i w naszém mieście.

*J.*

## Nowości Zagraniczne

*Le follet.* Przytaczamy tu parę sukien, które w oczach naszych wyprawiano do Vichy. Jedna z nich jasno popielata z bareżu zwanego *Lenos*, miała u dołu fałdowaną, szeroką na 10 centimetrów (5 cali) fałdy dawne w niejakich odstępach, przytwierdzone były klapkami z czarnéj koronki zachodzącemi na spódnicę. Stanik z krótką baskiną, w rodzaju westki, zaokrąglony i otwarty na przodzie, przybrany był odpowiednio falbanką. Przez rozchodzące się przody od jednego boku do drugiego, szły klapki czarne koronkowe. Pod spód dodana była kamizeleczka biała półbatystowa, przybrana żabocikiem z walansienki.

Druga suknia muszlinkowa szara w drobny rzucik, miała u dołu falbankę, zakończoną wąską gipiurką. Nad falbankę szła wstawka gipiurowa, która na każdym brycie, odwracała się w górę i zachodziła o pół łokcia na spódnicę. Staniczek postyljoński, przybrany był odpowiednio. Pod nim obciskał spódniczkę w stanie, pas szwajcarski szafirowy, z długiemi, spadającemi na tył końcami.

## Opis ryciny.

*Rycina przedstawiająca dzieci.*

*Chłopczyk sześcioletni.* Kostium szkocki: spódniczka popelinowa w kratę, kaftaniczek z czarnego pół sukienka, szarfa z popeliny przewiązana z boku. Toczek aksamitny obłożony popeliną, przybrany białem kapłoniem piórkiem, pończochy Szkockie. Do paska przyczepiona torebka obszyta frendzlą.

*Dziewczynka dziesięcio-letnia.* Sukienka z bareżu *Linos*, w zielone i białe paseczki. U dołu falbanka fałdowana, obszyta zieloną wstążką; każdy fałd przytwierdzony w górze szmuklerskim guzikiem. Gorsecik postyljoński, z epolecikami, ogarnirowany fałdowaną wstążeczką. Koszulka muszlinowa pod szyję z rękawami. Kapelusik ryżowy, przybrany zieloną wstążką, i kitka z białych piórek. Wysokie buciki fijołkowe.

*Chłopczyk trzy-letni.* Sukienka nankinowa wycięta. Na staniku berta wyszyta czarnym sutaszem pasek i klapki po bokach odpowiednio naszyte. U góry wyglądają z pod stanika, haftowane ząbki od koszulki. Buciki wysokie, z surowéj skórki, przybrane kwaścikami na przodzie.

*Dziewczynka pięcio-letnia.* Sukienka muszlinowa w muszki na szafirowéj, podpięta na każdym brycie wstążką, w festony. Kamizeleczka szafirowa jedwabna. Na to kaftanik hiszpański z muszlinu, obszyty haftowaną falbaneczką. Na ramionach epoleciki z wstążki szafirowéj. Kaszkiecik ryżowy, opasany wstążką szafirową przybrany jednem piórkiem.

*Dziewczynka ośmio-letnia.* Sukienka bareżowa, w różowe i białe paski, obszyta dwa razy frendzelką. Pasek z baskiną i szelkami, przybrany odpowiednio. Koszulka muszlinowa z rękawami.

*Dziewczynka siedmio-letnia.* Sukienka pikowa, w formie *Gabrjeli*, nie odcinana w pasie. U dołu zęby obszyte pletnią wełnianą pąsową, w zębach desenik wyszyty sutaszem. Z pod stanika widać namaszczoną koszulkę muszlinową. Na szyi koraliki. Buciki pąsowe safianowe, z kwaścikami.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

*Warszawa dnia 6 Sierpnia 1864 roku.*

---

# NA CMENTARZU, NA WULKANIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

**J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

Omyłki w sądach o dziełach sztuki, nierzadkie są w żywotach wszystkich artystów... czytajcie panowie Vasarego... (jeźli możecie), czytajcie historje literatury, wszystkie wiele ich jest... Nie trafiaż się to, że artysta ukocha jak matka najsłabsze, najniedołężniejsze ze swych dzieci, a na najlepszém się nie pozna?

— Masz pan słuszność, rzekł Włoch, ale takie zaślepienie jest wyjątkowém?

— Niekoniecznie, odparł garbus, wyjątkowe raczéj jest jasnowidzenie... o tém jeszcze bardzo wiele mówićbyśmy mogli.

Anglik z całą rodziną zbliżył się do grupy, która się powoli formowała, pozostał tylko na uboczu pargaminowy człowiek i kobiéta osamotniona, rozdzieleni kupką ludzi, ale dziwnie spoglądający na siebie.

— Przepraszam, rzekł Sir Price, nie dosłyszałem o co chodzi?

— Kwestja artystyczna, odparł garbus, uśmiechając się, ten pan... artysta i właśnie malujący wnętrze Campo-Santo... jakże się pan nazywa?

— Giovanni Sestini...

— Pan Sestini... prawie przyobiecuje przedsięwziąć obraz... ale w zbytku sumienności, nie przyrzeka go panu odstąpić, aż sam osądzi iż z niego zadowolonym...

Anglik nie zrozumiał dobrze...

— Cóż pan ocenia tę pracę? spytał żywo, biorąc pugilares, aby imię artysty w nim zapisać.

— Ta praca dotąd jest w głowie, ani jéj rozmiaru, ani wartości, ani czasu, jaki mnie kosztować będzie nie umiem oznaczyć, naturalnie zależy to od tylu warunków.

— Oceńmy więc jak najwyżéj... uparcie wtrącił Anglik...

— Doprawdy, nie śmiałbym się obowiązywać, rzekł malarz... pomówimy o tém...

— Tak! dobrze... przewspaniały obraz! nieprawdaż... i nie tylko o jego reprodukcij, ale o wrażeniach tego pamiętnego wieczora godziłoby się pomówić dłużéj... los nas tu zgromadził i zaprezentował gwałtem jednych drugim... gdybyśmy dopełnili tego co on rozpoczął i... poszli razem do Hotelu Angielskiego na herbatę, na którą miałbym przyjemność panów zaprosić?

Ze strony formalisty Anglika byłto wysiłek niesłychany, syn własny go nie poznawał... *shocking*! wyrwała się z ust jego na pół otwartych... cóż to? ewangeliczna uczta? goście zebrani z ulicy.

Sir Price upojony widowiskiem, sam widział, że popełnił rzecz śmiałą i niesłychaną, rzecz nawet nieprzyzwoitą, ale sobie obiecywał w duszy, że jutrzejszy dzień zerwie te stosunki, że żadnemu z tych panów na ulicy spotkanemu nie ukłoni się...

Zaproszenie i drugim wydało się dziwne, wszyscy zamilkli, przeczuwszy je pargaminowy człowiek cofnął się o krok, a kobiéta odwróciła twarz w inną stronę.

Tym czasem burza wściekła powoli ustawać zaczynała, deszcz lał jeszcze, błyskawice krzyżowały się, pioruny huczały nad głowa-

mi, ale czuć było, że największa siła nawałnicy już była gdzieś poszła na bagna około Luki... a stróż postrzegł w stronie morza, jasny pas nieba pogodnego, rozszerzający się powoli... dający nadzieję, że za kwadrans może, księżyc w pełni obleje spokojném swém światłem cichy plac i pole śmierci.

Milczenie wziął Anglik za przyzwolenie, a że mógł rachować, iż nieco daléj stojący pargaminowy mąż nie dosłyszał zaproszenia, posunął się ku niemu powtarzając uprzejmie.

— Wieszże pan, kogo zapraszasz? spytał zimno zagadniony...

— Jak to?

— Uspokoję pana naprzód, że co do osobistéj mojéj professij, to niema nic zastraszającego... jestem szlachcic i próżniak... ale... jestem znudzony, kwaśny, niemiły... Chcesz że octu do swéj herbaty?

Sir Price nadto był Anglikiem do szpiku kości, by osobistéj swobody człowieka nie umiał poszanować, odezwał się tylko. Oh! i uśmiechnął, pozostawała owa piękna pani, którą opuścić było prawie uchybieniem, a zaprosić prawie niegrzecznością... Widocznie odwracała się, radaby była uciec, gdyby nie burza, a położenie jéj dręczyło ją okrutnie.

Zarysowaliśmy zaledwie tę postać, która budziła ciekawość i pokrywała widocznie głębią pełną tajemnic.

Są ludzie przez których jasną powierzchowność widzisz na wskróś jak przez czyste wody potoku... nic w nich nie ma skrytego, odgadujesz ich jednem wejrzeniem, ale więcéj takich, których osłoniona twarz, omglone spojrzenie, zapieczętowane usta... zwiastują grób pełen szczątków, pełen przepaści ciemnych.

Kobiéta, o któréj mowa, należała do tych istot napiętnowanych urokiem tajemniczym..

Czarne jéj oczy głęboko zapadłe patrzały obawą, aby w nich nie wyczytano życia, czoło osłaniało się, by ze zmarszczek jego nie odgadnięto przdszłości, usta zdawały zrosłe, tak tuliły słowo i westchnienie.

Była widocznie niegdyś piękna, piękna jeszcze jak wspaniała ruina, którą słońce zachodnim blaskiem ozłaca, ale we wszystkich jéj rysach znać było znękanie, złamanie życiem, coś zmęczonego dziwnie i błagającego o spokój i zapomnienie, o przebaczenie i litość, pozorna jéj dzikość była widocznie nieśmiałością i trwogą. Wiek jéj, jak charakter, jak przeszłość trudno było z twarzy odgadnąć, mogła być prawie młodą, gdyby odżyła szczęściem, wydawała się prawie starą, tak ją zgniotła boleść. Smutny, gorzki uśmiech błądził po sinych wargach, a oczy za zbliżeniem się człowieka zdawały wyskakiwać z powieki, wysadzone strachem do obłąkania prawie dochodzącym.

Strój jéj zresztą, okazywał dostatek, a wybór sukni dowodził niezmiernego smaku i umiejętności ubrania, która się nie nabywa, jest to cecha wrodzona prawdziwéj kobiéty.

Domyśliwszy się z krótkiéj narady między P. Price i jego żoną, że idzie o zaproszenie téj pani, pargaminowy człowiek z nieznacznym półśmiechem zbliżył się do Anglika.

— Jeźli się nie mylę, rzekł, idzie państwu o zaproszenie téj nieznajoméj?

— Tak jest, szepnął Sir Price.

— Tego nikt z państwa niedokaże, dokończył, ale ja jako współziomek; podejmuję się posłannictwa.

To mówiąc okrążywszy grupę powoli począł się zbliżać do niéj. Kobiéta jakby to przeczuła, ruszyła się zrazu myśląc uciekać, ale przestraszywszy się sama tego piérwszego wrażenia, drżąc pozostała w miejscu... Oczy jéj wyrażały taką obawę, jakby widziała zbliżającego się kata.

Pargaminowy człowiek, podszedł grzecznie, ukłonił się i rzekł powoli.

— W imieniu tego pana, zapraszam panią na herbatę do hotelu *wiem*, dodał z przyciskim, że mu pani odmówić nie zechcesz.

Słowa zabrakło jéj w ustach, głowa po-

chyliła się na piersi i niby dała znak przyzwalający, człowiek którego widok sam tak przykre na niéj czynił wrażenie, odstąpił natychmast.

Burza ucichała zwolna... przez kratę wchodową błysnął księżyc i nagle odsłonięte jego oblicze, zajrzało we wnętrze cmentarza.

Była to trzecia już zmiana widoku, któréj Sir Price w uniesieniu niewiedział jak przyklaskiwać... pochodnie gasły, po namiętnéj dzikiéj burzy, cisza i grobowy spokój zaglądały do téj pustyni i nadawały jéj nową fiziognomją. Rzekłbyś, że za czarodziejskiéj laski dotknięciem duchy wywołane płomieniami błyskawic wróciły do swych grobowisk i nieruchomości... cmentarz usypiał, cyprysy nie śmiały szumiéć, aby mu nie przerywać spoczynku, na kolumnach galerij ślizgały się sinawe promienie księżyca i zakradały w głąb niosąc z sobą białe smugi umarłéj światłości grobowéj na groby...

Może w téj ostatniéj szacie śnieżystéj księżyca, cmentarz Pizański wyglądał najpiękniéj, najwłaściwiéj sobie, zdawał się mówić... o wiecznym spoczynku i wikuistéj światłości innego świata.

Wszyscy goście obejrzawszy się raz jeszcze po galerjach, skierowali się ku wyjściu... Szczęściem Genueńczyk zabiegły, który przeczuł, że po błocie trudno się będzie dostać nad Arno do hotelów, uprzedził panów pod parasolem, i nakłonił veterynów, aby przybyli po swoich patronów... powozy stały na placu... wszyscy się jakoś dobrali do nich.

Włoch malarz z żoną zaproszony przez nieznaną kobiétę, która była samą, może dla tego, aby się do niéj kto inny nie wprosił, pojechał milczący. W hotelu Anglika zamówiona herbata oczekiwała z całym wykwintem na jaki zdobyć się mogła gospoda pizańska. Trzy *machiny*, jak trzy trojnogi ofiarne z kipiącą wodą i płomienistemi fajerkami... zwiastowały, że herbata może być przynajmniéj znośną.

Po Campo-Santo widzianém w blasku piorunów, przy pochodniach i po księżycu, po obrazach surowych Orcagna, po posągach Pisanów, po marmurach, które rzeźbiło poetyczne uczucie, wpaść nagle do hotelu nad Arno, przygotowanego na przyjęcie angielskiéj rodziny, jest to jakby z niebios i obłoków przez zbrukany komin wcisnąć się do prozaicznéj kuchni. Dziwniejszéj sprzeczności trudno sobie wystawić, żadna kąpiel lodowata bardziéj człowieka ostudzić nie może.

Nie wiem, czy tego doznali wrażenia goście zebrani w jadalnéj sali angielskiego hotelu nad Arno, niegdyś pałacu jakiegoś magnata, dziś przeistoczonego na najpospolitszą w świecie jadalnią.

W każdéj karczmie włoskiéj odartéj i brudnéj, jednéj z tych, które się spotykają w Apeninach, z szerekiemi wroty wiodącemi do zakopconego wnętrza, ze studeńką pełną kwaśnego wina, z ogromnym kominem i prostemi ławy, byłoby lżéj duchowi spocząć, niż w téj *confortable* oberży angielskiéj, któréj ściany nawet przypochlebiać się starały podróżnym.

Był to wszakże salon wcale przyzwoity z wielkim stołem pośrodku, ostawionym wygodnemi krzesłami, na stole paliły się świece (zbytek niesłychany), a oprócz tych *machin* do herbaty, wszystko czego wieczorem zapragnąć może znużony i ogłodzony podróżny, znajdowało się przyjemnie ustawione na bardzo białych serwetach. Zrobienie nawet herbaty zostawiono paniom, co było wielką grzecznością i uznaniem własnéj nieudolności rzadkiem w hotelach. Szynki, masło, pieczyste, miód, deser, owoce, czekały na głodnych...

Kilku służących, którzy powkładali rękawiczki perkalowe i białe krawaty, stali na rozkazy.

Naostatek wpośrodku z kokieterją ustawiony był bukiet którego jasminy białe rozlewały woń cudowną, ale przy wieczerzy zbytecznie może przypominającą pomadę...

Po wrażeniach Campo-Santo, niejednemu

mile się to wydać mogło. Aaglik był wesół i uszczęśliwiony... rodzina jego milcząca poważnie, garbus śmiejący się zacierał ręce i jak gastronom ukośne rzucał wejrzenie na talerze... Włoch artysta zdawał się nieco zakłopotany, ale żona jego w światłach salonu wyglądała cudownie, kobiéty piérwsze uderzone były jéj niezmierną pięknością... rozpromieniona podobną była do Junony Ludovici. Garbus spoglądał na nią przynajmniéj równie łakomie, jak na potrawy zdobiące stół wieczerzy...

Pargaminowy człek wszedł obojętnie, padł na piękne krzesło u ściany i spuściwszy głowę na piersi, spoczywał ziewając szeroko.

Największéj zmianie uległa kobiéta samotna, którąśmy widzieli przed chwilą przestraszoną i złamaną... przez drogę uczucie jakieś, czy siła woli zupełnie ją przeistoczyła... Weszła z twarzą wesołą, uśmiechniętą, ale ze śmiałością dziecka, które w wielkim strachu nadrabia fantazją, dopóki się nie rozpłacze.

Tylko rozpacz takich cudów dokazywać może.

Weszła krokiem śmiałym do sali, jak kobiéta przywykła być panią, spojrzeniem królewskiém powiodła po przytomnych i dostrzegłszy Włoszkę od której się była usunęła w Campo-Santo, żywo zbliżyła się do niéj.

— Darujesz mi pani, rzekła uśmiechem wdzięcznym odmłodzona, żem się tak niegrzecznie znalazła tam... ale ja się tak boję piorunów, że w czasie ich jestem prawie nieprzytomna, nawet w drodze jadąc do hotelu, jeszczem do siebie przyjść nie mogła, jakeś pani uważała... tu oddycham... czuję że stąpam po ziemi, że jestem na świecie, żem jeszcze nie umarła i nie pogrzebiona na tym strasznym cmentarzu waszym... który wygląda na więzienie, z którego zdaje się że duszy ulecić nawet trudno... ah!

I usiadła przy Włoszcze na krześle, zrzucając kapelusz i poprawując prześliczne czarne swe włosy, które się jakby na umyślnie rozpuściły, aby pokazać, że są długie i piękne...

Ze swego kąta pargaminowy człowiek patrzał i prawie się uśmiechał na tę metamorfozę, gdyby skrzywienie ust ledwie dostrzeżone uśmieszkiem nazwać się mogło.

— O! jakżem zmęczona! zawołała, jakże to piękny był, ale jak przerażający dramat! ten cmentarz z piorunami, przy pochodniach, po księżycu... całe życie chyba śnić mi się będzie.

— Nieprawdaż? przerwał Anglik, było to coś uroczego.

— Tak, wielkiego, uroczystego, ale przerażającego, dodała kobiéta, coś jakby sen dławiący... I dla czego my... z różnych świata krańców zbiegli ludzie, koniecznie my i my tylko wyznaczeni byliśmy na świadków téj sceny?

Tak! rzekła ciszéj, ale wyraźnie, nic się nie dzieje bez celu, nic bez myśli... we wszystkiém jest fatalizm, prawo, los, przeznaczenie... dlaczego my? dla czego cmentarz, dla czego burza i księżyc po niéj?

Wstała nagle spojrzała na siedzącego pargaminowego ziomka i powtórzyła.

— Dla czego my?

— Ja to pani wytłomaczę; rzekł zbliżając się suchy ziewający gość, który się przywlókł do stołu i zajął swe miejsce, naprzód biorąc nóż z nakrycia i zaczynając się nim bawić, jakby pod wrażeniem włoskich obyczajów, o jakieiś *coltellacie* zamyślał... mnie się to zdaje bardzo naturalnem...

— A ciekawym? rzekł garbus, który się przysunął z rękami w kieszeniach i ironicznym swym śmiechem.

(d. c. n.)




TYGODNIK MÓD

*w Warszawie*